№ 3

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEDZIELA 10 STYCZNIA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROK 1836.

KRUP.

POWIEŚĆ LEONA GOZLAN.

(Dokończenie.)

»W kilka dni po tej scenie, stanąłem przed bramą pałacu Brady, który zastałem zamknięty. Trawa powyrastała pode drzwiami stajen. Pałac najęty był na lat pięć, Pan Anderson zabrał z sobą wszystkie klucze. Wiedziałem zgromadzenia, na które zbierali się co niedziela domownicy tego pałacu, poszedłem tam, w nadziei wywiedzenia się o czem, wykrycia śladu którego ze służących, coby mnie uwiadomił o rozwiązaniu rodzinnego dramatu, którego końca doczekać się nie miałem dosyć odwagi. Wszystkie starania moje zostały daremne; żaden ze współziomków nie widział ich od daty poprzedzającej chorobę malenkiej Lady. Ztąd wniosłem, że wszyscy odesłani zostali do Anglii. Anderson, wierny przysiędze, jak najdoskonalej zabezpieczył sobie tajemnicę, oddalając w obce krainy ostatnich świadków nieszczęsnego zdarzenia. Najpodobniej nawet do prawdy, iż opuszczając pałac o niczem nie wiedzieli. Zapewne więcej się dowiem od sąsiadów, pomyślałem sobie. Spytałem owocarki, mieszkającej o dwa kroki od pałacu Brady: »Tego dnia, o godzinie; czy nie uważałaś pięknego pogrzebu, ze wspaniałym karawanem, końmi uszamerowanemi srebrem, z kitami białych piór na głowach?«

— »Mój kochany Panie, przez naszą ulicę tak wiele przejeżdża bogatych umarłych, żem wcale mogła nie postrzedz pańskiego umarłego z piórami.«

— »Toś także nie widziała tego dnia małej trumienki dziecęcej?«

— »A toć tego zawsze tak pełno, że człowiek już i nie uważa na to.«

»To już więc nic się nie dowiem o Katty!

»Nakoniec, pewnego wieczora, przeszłej zimy, słuchałem, siedząc przed dobrym ogniem, ustnego opowiadania podróży odbytej po Szwajcaryi, które prawił mi przyjaciel, to raz kładąc cygaro na rogu kominka, aby się wdrapać na górę Rigi, to znowu popijając szklankę ponczu, gdy stawał na wytchnienie w kapliczce Malchusa. Aże to był człowiek dowcipny, opowiadał nie szukając popisywać się z dowcipem. Mogę śmiało powiedzieć, iż znam Szwajcaryję odtąd, jakem słyszał jego opowiadanie, gdyż dawniej, czytając opisy o tej krainie, zupełnie jej nie znałem.

— »I cóż najosobliwszego widziałeś w tym kraju, prócz góry Mont-Blanc i Montanwertu?

— »Anglików, odpowiedział; jedyny naród, którego języka zrozumieć nie mogą wszystkie trzynaście kantonów. Ta wyłączna bieda zmusza ich do nadzwyczajnego wydatku gestów; jeźli chcą tylko wyrazić chęć jedzenia upieczonego kurczęcia, muszą w bolesnej swojej mimice naśladować głos zarzynanego kurczęcia i wark obracanego rożna. Po tak znakomitych wysileniach, często kucharz szwajcarski zastawia im potrawkę z zająca.« — I przyjaciel mój skreślił mi wiele jeszcze podobnych zarysów

angielskiego charakteru. Nie mniej oryginalnym był następujący:

— »Znudzony życiem pewien Lord bogaty, postanowił szukać roztargnienia w podróżowaniu. Taki przynajmniej powód naznaczono długiej jego pielgrzymce; lecz nieszczęśliwy nie mógł już dłużej wytrzymać męczarni wewnętrznego znudzenia i smutku, które go skrycie pożerały. Cała jego postać nacechowana była tęsknotą. Wszystkie morza spławiły już jego okręt, błądzący od brzegu do brzegu; ciężkie jego powozy toczyły się po bruku wszystkich miast całego świata.

— »A jakże się nazywał ten Anglik? spytałem przyjaciela.

— »Mac Ferlus.

— »Lord szkocki. Przez chwilę myślałem, że to mógł być....

— »Kto taki?

— »Nikt. To dawne przypomnienie.

— »Otoż ten Anglik przebiegł Egipt, Syryję, Arabiję, Persyję, Japoniję, Indyje, Amerykę.

— »I wszędzie się nudził?

— »I to jeszcze znudzeniem, którego sam sobie przypisywał przyczynę. Co-za szaleństwo! mawiał, udawać się koniecznie, gdzie być chcemy, gdzie tylu już innych przed nami było. Dżonie, rzekł do swego Marszałka, odtąd będziesz mnie wozić, gdzie ci się tylko podoba; zostawiam ci wolny wybór pomiędzy wszystkiemi czterema częściami świata. Nie uwiadamiaj mnie tylko nigdy, gdzie się znajdować będziemy; wiesz, jak mało mnie obchodzą miasta i ich mieszkańcy. Nie mówię z nikim, nikt i nic mnie nie zajmuje. Woź mnie, tego tylko od ciebie wymagam.

»Od dwóch lat, Marszałek Mac Ferlusa ze ślepą akuratnością posłuszny rozkazom pana, woził go; Mac Ferlus mniemał może, iż jest w Persyi, kiedy powtórnie przejeżdżał przez Turcyję, i wyobrażał sobie może być w Niemczech lub we Francyi, gdy go w Szwajcaryi spotkałem......

»Rogatki *L'Etoile* są może położeniem swojem najwspanialsze ze wszystkich okrążających Paryż. Zdają się być niejako prostopadłą szluzą, z wierzchołka której spływają do Paryża nieustające fale różnokształtnych powozów, koni rżących i unoszonych pochyłością gruntu, dyliżansów napełnionych podróżnymi, których przeraża okazałość rozwijająca się przed ich oczyma; Paryż, postrzeżony z tego punktu, zabłyska razem jak wystrzał; jest-to niejako wschód słońca widziany z wierzchołka góry. Całe miasto od razu jak gdyby z nicości wynika; a jakie jeszcze miasto! dziesięć mil drzew, dziesięć mil pomników, dwie mile rzeki! Pałac Tuilleries, Louvre, kościół Najświętszej Panny, Panteon, kopuła Inwalidów, Sekwana. Tam żyje francuzki Monarcha. Tam oddycha 100,000 dusz! Słońce zdaje się mieć za mało promieni na oświecenie tego obrazu. Wznieś ponad siebie oczy: łuk tryumfalny. Jest-to widok kolosalny i jedyny. Licha żelazna krata dzieli przybywającego od tych cudów. Potrzeba pozwolenia nawet, aby się dostać do stolicy świata. Tak wymaga postanowione prawo.

»Pewnego dnia stałem oparty o tę kratę, przypatrując się Paryżowi. Koń przysunął się do samej rogatki od strony Paryża, aby zostawić wolne przejście podróżnemu powozowi, za którym postępowało kilka innych ciężkich powozów, pokrytych czarną skórą, z kołami mosiądzem obitemi. Był-to ekwipaż angielski. Na koniu, który przysunął się tak blizko kraty, siedziała młoda panienka w błękitnej amazonce.

»Powóz przejeżdża. Słyszę tłukącą się szybę. Dwie ręce wysuwają się z portiery i podwójny krzyk słyszeć się daje. Koń młodej panienki cofa się o trzy kroki.

— »Katty! Katty!«

— »Kto mnie woła?«

— »Katty! Katty! córko Hanny! moja córko!«

»Zdaje mi się, że gdyby w tej chwili najpierwszy Par francuzki przejeżdżał, byłbym niezawodnie zapomniał zdjąć kapelusz.«

»Biorąc córkę na ręce, jak wtedy, gdy była jeszcze maleńką Katty, Lord Brady porwał ją z konia, i szedł tak przez kilka kroków przyciskając do serca. Lecz gdy ją postawił na ziemi, ona z kolei wsparcia musiała mu użyczyć. Tak szli pieszo przez Pola Elizejskie, ojciec wsparty na odzyskanem dziecięciu.«

»A ja, ścigałem ich oczyma.«

»Pojąłem wówczas, że widok wszystkich pomników świata, wszystkich miast i milijonowych ludności, nie zdołałby tak potężnie wzruszyć serca, jak ten ojciec i ta córka, spotykający się przypadkiem u bram miasta, po ośmiu latach rozdziału, który wie-

cznym być mniemali. Widziałem ich stopniami niknących pomiędzy drzewami Pól Elizejskich. Ojciec mnie nie znał; córka o mnie zapomniała. Odtąd już ich nie widziałem. I pocóż ich widzieć? Dowiedziałem się tylko, że gdy, wspierając się wzajemnie, ojciec i córka przybyli przed pałac, uprzedzona przez służącego Lady Katty kobieta jakaś, czekała na nich w pośrodku ulicy.«

— »Milady! i ty tutaj! O Boże Wszechmogący! Hanno! powiedzże mi, jakim sposobem potrafiłaś znaleźć naszą córkę?

— »Milordzie! Niechaj Bóg mi raczy wybaczyć złamanie przysięgi! nie odstąpiłam jej ani na chwilę.«

Niepotrzebnie jest tutaj dodawać, iż mała Katty prawie cudem uratowaną została; że Anderson pozostał w Paryżu, jako w miejscu, gdzie najłatwiej mógł ukryć jej życie; a jeszcze niepotrzebniej, iż Marszałek Lorda Brady, mając pozwolenie wozić Pana, gdzie mu się podoba, zawiózł go do Paryża.

E C H O.

Pewien Lotaryngczyk kupił sopie nie wielką posiadłość ponad brzegiem rzeki Mozelli. Znajdując się raz na obiedzie z kilku sąsiadami, którzy jeden nad drugiego wychwalali echa, jakie mieli w swoich ogrodach, oświadczył bezczelnie, iż ma w swoim zwierzyńcu echo, powtarzające dwanaście razy każdy wymówiony wyraz. Osobliwość ta, chociaż nie była zupełnie niepodobną, tak się jednak cudowną wydała towarzystwu, iż nie chciało w nią uwierzyć: żywo dotkniony tem powątpiewaniem Lotaryngczyk, zaprosił całą kompanię nazajutrz do siebie na śniadanie, obiecując, że sami będą świadkami i sędziami w tej sprawie.

Nazajutrz, ukrył swojego ogrodnika w gaiku, nauczywszy go pierwej, jak ma powtarzać, rozmaitem stopniowaniem głosu, podany wyraz, i wytłómaczył mu, że tym sposobem chce wmówić w sąsiadów, iż ma zadziwiające echo w swym ogrodzie.

Po śniadaniu, towarzystwo udało się do ogrodu dla dania wyroku. Przybywszy do pewnego miejsca, Pan domu zatrzymał biesiadników, powiadając, iż ztąd potrzeba przemawiać do echa, i prosząc, ażeby wyrzekli głośno jakie słowo. Sąsiedzi zaczęli nalegać, aby sam pierwszą uczynił probę; ulegając ich prośbom Lotaryngczyk, donośnym zawołał głosem:

— »Jest-żeś tam?

Echo odpowiedziało: »A juści, że jestem; przeszło od dwóch godzin czekam już na Pana.«

Pies, miłośnik muzyki.

Na początku roku 1789, pies pewien codziennie regularnie przychodził na wojskową paradę, odbywającą się wówczas przed pałacem Tuillerie. Obierał sobie zawsze miejsce przy muzyce. Przechadzał się, obchodził ją w koło, stawał, z największą uwagą i przyjemnością zdając się słuchać wojennych akordów. Po paradzie znikał, lecz nazajutrz o tejże samej godzinie na to samo przychodził miejsce, te same odbywał poruszenia, te same zadowolenia dawał oznaki. Upodobali sobie żołnierze tego psa, nazwali go *Muzyką;* stał się on wielkim ich faworytem, i jeden po drugim zapraszał go na obiad. Gdy który żołnierz chciał go wziąć z sobą, dosyć było powiedzieć: *Muzyka*, będziesz jadł dzisiaj u mnie. *Muzyka* szedł z zapraszającym i smaczno zajadał wszystko, co mu dano; lecz po skończonym obiedzie, żadne pieszczoty zatrzymać go nie mogły, odchodził i udawał się wprost do którego z teatrów. Tam, bez żadnej ceremonii, postarał się dla siebie o wygodne miejsce przy orkiestrze, i nie ruszył się ze swego kącika, dopóki się sztuka nie skończyła. Biedny pies stał się ofiarą zamiłowania muzyki; udał się w pochód za pułkiem należącym do armii włoskiej. Pozyskał wielkie łaski u Jenerała Desaix, w bitwie pod Marengo znajdował się przy jego boku. Postrzegłszy Pana swojego upadającego bez życia, rzucił się wyjąc przeraźliwie na jego zwłoki; w tejże chwili pękła bomba, i położyła go trupem obok walecznego wodza.

Most skalny w Wirginii.

Most ten, dzieło natury, jest jednym z największych jej cudów. Leży w Wirginii, w Ameryce północnej, hrabstwie Rokbridge, na szczycie wzgórza, które wydaje się jak gdyby gwałtownem trzęsieniem ziemi w całej swojej długości rozdarte; wysoki jest na 213 stóp, szeroki w dolnej części na 50, a w górnej na 90; na samym szczycie łęku ma grubości stóp 40, a długość jego wynosi stóp 60.

Ocieniają go ogromne, rozłożyste drzewa. Łuk ma kształt eliptyczny. Poręcz, w samejże żywej skale wykuta, tak jest szeroka, że pięć do sześciu osób, idąc obok siebie, mogą po niej najwygodniej przechadzać się. Patrząc z góry na dół przez kilka sekund, widok tak jest wspaniały, ale razem tak przerażający, tak straszliwy, iż rzadko kto znajdzie się w świecie, coby patrząc nie dostał zawrotu głowy. Lecz stanąwszy u podnóża góry, i oczy wzniosłszy na szczyt jego, niewypowiedzianego doznaje się zachwycenia na widok owego napowietrznego łuku, tak pięknego, tak wzniosłego, tak regularnego, jak gdyby był najdoskonalszem dziełem ręki ludzkiej. Most ten prowadzi przez głęboką dolinę, której inaczej przebyć nie można, chyba okrążając niezmierny przestwór.

Rosa Grevili.

Osobliwy krzak tej chińskiej róży, przed kilku laty sprowadzony do Londynu, corocznie odtąd kwiatem się okrywa. Ma wysokości 18 stóp, zajmuje przestwór więcej jak 100 stóp kwad., z łodygi wyrasta przeszło sto bukietów, a na każdym z nich więcej jak po 50 róż widzieć się daje. Trzy tysiące blizko kwiatów okrywa krzak ten przepyszny. To najbardziej jednak jest zachwycającem, i czarowny przedstawia widok, iż róże, jeden bukiet składające, są różnych kolorów, jakich tylko do cieni, z białego przechodząc do purpurowego, użyć można.

B A B E L.

Uczony i po śmierci nawet żyje, chociaż ciało jego, grobowym kamieniem przywalone, w proch się rozsypie. Człowiek nieoświecony jest martwy, chociaż jeszcze chodzi po ziemi; liczy się do rzędu żyjących, a jednak nie żyje.

z arabskiego, Mardi Annadhir.

Najszacowniejsze miejsce na tym świecie jest siodło na bystrym rumaku; a przyjaciel najlepszy, dobra książka.

z arabskiego, Abuttaib.

Głód zagląda do drzwi człowieka pracowitego, ale wejść nie śmie. *Franklin.*

Nie smuć się, że nie jesteś znany ludziom, ale smuć się, że sam ich dobrze nie znasz.

Konfucyjusz.

Nie chlub się dniem następnym, bo nie wiesz, co dzień ten zrodzić może.

Salomon, Przysłowia.

Często postrzegamy, że osoba, którą najwięcej obmawiają, najlepszy ma charakter; tak często najwyśmienitszy owoc z całego drzewa jest ten, który ptaki najnielitościwiej swoim dziobem uszkodziły.

Swift.

Człowiek najdoskonalszy jest ten, który jest najpożyteczniejszym dla bliźnich.

Wiersz z Koranu.

Ci, co siać będą we łzach, w radości zbiorą żniwo.

Salomon.

Serce, które wszystkie łagodniejsze uczucia opuszczają, widzi się zmuszonem do nienawiści. Cierpienie to podobne jest do tego, jakowegoby doświadczyli zmarli, gdyby uczuli nagle zimne robactwo pełzające po ich na wpół roztoczonych trupach, a nie mogli odegnać od siebie tych pożerczych gadów.

Byron.

Smutek ma swoje powaby, a przyjemność jego jest jak ulewa wiosenna, gdy rozmiękczy korę starożytnego dębu, a młody listek ukaże zieleniejącą swą główkę.

Ossyjan.

Widok morza zawsze głębokie czyni wrażenie; jest obrazem owej nieskończoności, która ciągle myśl ku sobie zwabia, a w której myśl ciągle się gubi.

Staël-Holstein.

Bóg nie zabrania dróg kwiecistych, gdy nas prowadzą ku niemu: wszakże nie raz, nie przez ostre i przepaściste drożyny góry, zbłąkana owieczka powraca do owczarni.

Chateaubriand.

Czystość duszy i czystość obyczajów są najpierwszą chwałą kobiety.

Staël-Holstein.

S z a r a d a.

Pierwsze weź po odwrotnemu,
Rej wiedzie śród towarzyszy.
Ach! biada kochającemu,
Gdy z lubych ust *drugie* słyszy!
Wszystko, pożytek łącząc z przyjemnością,
Z podobną wiatrom unosi szybkością.